

## Piotr Zaremba: Kino opowie wam naszą historię

Polscy filmowcy częściej traktują polską historię jako okazję do objawienia swoich rozmaitych pretensji do polskości. I chętniej sięgają po tematy „demaskatorskie”, co samo w sobie nie jest niczym strasznym, ten nurt istniał co najmniej od czasu zaleceń Stefana Żeromskiego aby szarpać polskie rany. Ale co w nadmiarze robi wrażenie maniery – pisze Piotr Zaremba dla „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Wyświetlanie polskości”.

Na polskiej premierze filmu *Zimna wojna* Pawła Pawlikowskiego organizowanej przez producenta (Opus) nie wywołano na scenę nikogo z ministerstwa kultury czy z PISF, pomimo obecności ministra Glińskiego. I pomimo wsparcia tego filmu naprawdę dużymi publicznymi pieniędzmi. Z kolei media liberalnej lewicy („Polityka”) zarzucały temuż Piotrowi Glińskiemu, że niedostatecznie gratulował artyście nagrody w Cannes. Ta wymiana ciosów mniej dotyczy samego filmu, bardziej sporów wokół *Idy* i politycznych deklaracji reżysera przekonanego, że jest w Polsce prześladowany.

### Polskie losy przy okazji

Co do filmu – bywa on zachwalany jako idealny melodramat (przez Łukasza Adamskiego chociażby). Mnie wydał mi się w tej kategorii zbyt chłodny i zdawkowy. Natomiast pomijając urodę zdjęć czy muzyki, jest w nim refleksja o jednostce miotanej burzami dziejów, sugestywna, nawet jeśli już doskonale

znana. Ile Pawlikowski chciał nam o tym opowiedzieć, a na ile było to dla niego dogodne tło? Tytuł świadczyłby o jakichś ambicjach historycznych. Choć pojawiają się one niejako przy okazji.

Czy nagroda w Cannes była przyznana za opowieść o polskich losach w przedzielonym żelazną kurtyną świecie? Są złośliwi komentatorzy, którzy twierdzą, że raczej za radykalne polityczne opinie reżysera o obecnym polskim rządzie. Niezależnie od wszystkiego sam Pawlikowski poniekąd stawia problem przekładalności polskiej kultury na inne języki, nie tylko w sensie lingwistycznym. Ludowa, polska piosenka o serduszku rozbrzmiewająca w jednej z pierwszych scen jest potem przerabiana na kolejne aranżacje, w końcu ma nawet nowe słowa. Jak daleko można się w tym posunąć, zdaje się pytać reżyser. No właśnie, wypada powtórzyć to pytanie za nim.

Nie sądzę, żeby Pawlikowski coś przełomowego na temat polskich losów odkrył. Ale możliwe, że dopiero wplecenie ich w estetycznie wysmakowany film o męsko-damskich relacjach uczyniło je interesującymi dla świata. Nie musi to być celem głównym twórcy, wystarczy, aby było skutkiem.

*W dziesiątkach współczesnych filmów amerykańskich, a już zwłaszcza seriali, nieraz erudycyjne spostrzeżenia dotyczące historii uzupełniają normalne kino gatunkowe*

Przykładowo, w dziesiątkach współczesnych filmów amerykańskich, a już zwłaszcza telewizyjnych seriali, nieraz erudycyjne spostrzeżenia dotyczące historii

uzupełniają normalne kino gatunkowe: kryminały, melodramaty, nawet

horror. Amerykanie nie muszą opowiadać nikomu swoich dziejów. Ich twórcy myślą przede wszystkim kategoriami własnego rynku i to dla nich szukają ciekawych opowieści. Ale tak się siłą rzeczy dzieje, że czegoś się z tych obrazów dowiadujemy. Ot taka misja, bez specjalnie misjonarskich zapędów.

Trwa potępięcza dyskusja o tym, czy możemy eksportować swoją historię za pośrednictwem filmów. Idea wielkiej hollywoodzkiej produkcji okazała się chyba nierealna, a Polska Fundacja Narodowa, która miała promować patriotyczne obrazy filmowe, znaczną część pieniędzy wydała na coś innego. Choć jaskółki zapowiadające wiosnę się zdarzają, choćby domykany, polsko-brytyjski film o lotnikach z Dywizjonu 303, z synem Mela Gibsona w jednej z głównych ról. Coś podobnego powinno powstać co najmniej 20 lat temu.

Zarazem w Polsce brak konsensusu wobec tego, co chcielibyśmy na zewnątrz pokazywać. Większość środowisk artystycznych ma co do tego inną wizję, niż duża część społeczeństwa. Symbolem tej rozbieżności była kontrowersja wokół poprzedniego filmu Pawlikowskiego *Ida*.

Przyczerniać? Pokazywać

Z drugiej strony – na najwyższym stopniu ogólności pewien konsensus jest chyba nadal możliwy. Przykładowo, obraz Polaków rysowany przez Pawlikowskiego w *Zimnej wojnie* sprzeczny jest zapewne z portretem dokonywanym czarno-białą kreską przez najzagorzalszych antykomunistów. Za dużo tu z ich punktu widzenia dostosowywania się. Główny bohater, muzyk i organizator ludowego zespołu grany przez Tomasza Kota, aby uciec za granicę musi dotrzeć do Berlina, a żeby dotrzeć do Berlina musi zawrzeć

kompromisy ze stalinowską władzą. Jego ukochana grana przez Joannę Kulig, aby go w kilka lat później ratować, musi związać się z partyjnym aparaczką. Ja takiej wizji bronę. Dzisiejsza prawica woli na ogół wersję bardziej heroiczną.

Ale nie ulega wątpliwości, że zasadniczy obraz tamtych czasów nie będzie kwestionowany przez nikogo. I że warto go eksportować. To zapewne tym, a nie jedynie pozycją Pawlikowskiego jako Oscarowego reżysera, kierowało się ministerstwo, dając mu dodatkowy milion na ukończenie filmu – ponad podziałami.

*Pokusa, aby trafić do serc  
innych przyczerniając siebie, jest  
silna, ale może prowadzić na  
manowce*

Równocześnie nie da się ukryć, że polscy filmowcy częściej traktują polską historię jako okazję do objawienia swoich rozmaitych pretensji do

polskości. I chętniej sięgają po tematy „demaskatorskie”, co samo w sobie nie jest niczym strasznym, ten nurt istniał co najmniej od czasu zaleceń Stefana Żeromskiego, aby szarpać polskie rany. Ale co w nadmiarze robi wrażenie maniery. Tu najbardziej charakterystyczna jest nawet nie *Ida*, a *Pokłosie* Władysława Pasikowskiego, film odwołujący się do historii dla celów pedagogicznych. Jest to obraz pomijający szereg kontekstów historycznych (rola sowieckiej okupacji w podsycaniu pogromowej atmosfery na terenie Podlasia) i niesprawiedliwie, schematycznie przedstawiający Polaków współczesnych jako motłoch. Na pewno nie chciałbym, aby był to jedyny sposób rozmawiania o polskiej przeszłości i teraźniejszości. Pokusa, aby trafić do serc innych przyczerniając siebie, jest silna, ale może prowadzić na manowce.

Co więcej, w lęku przed znalezieniem się po stronie „zbyt narodowej” polskie elity artystyczne odznaczały się przez lata swoistym tematycznym eskapizmem. Nic tego lepiej nie ilustruje niż lęk jury pod przewodnictwem zasłużonego reżysera Filipa Bajona przed nagrodzeniem na przedostatnim festiwalu filmowym w Gdyni *Wołynia* Wojciecha Smarzowskiego. Ktoś tym ludziom podpowiedział, albo sami czuli, że nie mogą się wpisywać w „prawicową narrację”.

Z drugiej strony wola Smarzowskiego, człowieka od wszelkiej prawicy jak najdalej, aby tę produkcję za wszelką cenę zrealizować, pokazuje, że wszelkie schematy są tu zawodne. Film nie tylko opowiedział o martyrologii nieco zapomnianej grupy Polaków, ale też ciekawie pokazał dylematy i nawet przemiany chłopskiej społeczności podczas wojny (ta jego rola została słabo zauważona). Jestem więc przekonany, że jakiś potencjał w świecie polskich filmowców drzemie. I że umiejętny, nienachalny, mecenas mógłby ten potencjał ożywić.

Sam Pasikowski, przede wszystkim sprawny rzemieślnik, po *Pokłosiu* nakręcił solidnego, ciekawie antykomunistycznego *Jacka Stronga*, który ma się teraz doczekać wersji amerykańskiej, jest więc udanym przykładem eksportu ważnego wątku polskich dziejów. Teraz pracuje nad filmem o Janie Nowaku-Jeziorańskim, a pośrednio o polskim sporze o Powstanie Warszawskie. Kieruje się zapewne wycuciem rynku.

W poszukiwaniu języka

Inną, fundamentalną sprawą jest komunikatywność. Choć Smarzowski, w końcu sprawny fachowiec, deklarował wolę korekt na użytek zagranicznej publiki (na przykład napisów objaśniających rozmaite konteksty), i tak przeważała opinia, że narracja *Wołynia* jest zbyt nieczytelna, hermetyczna poza Polską. Nie jestem pewien, czy to aż tak bardzo oczywiste, i nie myślę tu tylko o przykładzie Amerykanów, którzy z natury rzeczy nie oglądają się na cudzą percepcję i wrażliwość. Oglądałem opowieści o dziejach różnych krajów (choćby *Michael Collins* Neila Jordana o walce XX-wiecznych Irlandczyków o wolność), gdzie stopień komplikacji i nawet pewnej egzotyki zdarzeń był podobny, a jednak nie wykluczał rezonansu nie tylko w ojczyźnie twórcy.

Wiele zależy tu od promocji, wiele od czynników pozaartystycznych, nawet od przypadku. Ale oczywiście jest pytanie, jak opowiadać IM naszą przeszłość.

*Nie da się jednak chyba ustalić,  
ile polskich problemów wrzucił  
Wajda do refleksji zagranicy –  
był tam podziwiany jako mistrz  
formy*

Polskie kino syciło się historią. Przez lata to filmy Andrzeja Wajdy, często adaptacje klasycznej literatury, kształtowały naszą wyobraźnię. Zaczynał jako krytyk polskiej

tradycji, w duchu Żeromskiego, acz z wyraźną zachętą komunistycznej władzy zainteresowanej przyczernianiem polskiej tradycji jako szlacheckiej i nieużytecznej. Potem jednak, zwłaszcza w latach 70., stworzył model kina narodowego. Mam wrażenie, że odegrało ono swoją rolę w generowaniu zjawisk społecznych, a nawet politycznych.

Nie za bardzo da się jednak chyba ustalić, ile polskich problemów wrzucił Wajda do refleksji zagranicy. Był tam podziwiany jako mistrz formy, zapewne postrzegany jako symbol polskiego umiłowania wolności na przełomie lat 70 i 80. Dano mu nawet okazję do udziału w debacie o historii całej Europy – francuskim filmem *Danton*. Ale czy jego wizje pozostawiły bardziej trwałe ślady?

Tym bardziej dotyczy to kina bardziej popularnego. *Potop* Jerzego Hofmana z roku 1974 był nominowany do Oscara. Ale czy przygodowa epepeja o XVII-wiecznej wojnie ze Szwedami ożywiła bardziej trwale zainteresowanie polskością? Uwiad kina historycznego w III RP dopełnił wrażenia permanentnego kryzysu. Wajda ze swoim „Katyniem” przebił się już tylko, w bardzo ograniczonym stopniu, do Rosjan. Co do produkcji popularnych, *Ogniem i mieczem* czy *Bitwa warszawska* Hofmana były jedynie bladym cieniem *Potopu*. Powstawały ciekawe dzieła, choćby *Tam i z powrotem* zmarłego niedawno Wojciecha Wójcika, poświęcone problemowi ludzi wyrzuconych w PRL poza nawias za AK, ale były kameralne, niszowe, niewypromowane przez nikogo.

Warto jeszcze pamiętać o jednym. Wiara w to, że filmowcy automatycznie ożywią zainteresowanie historią swojego narodu czy zmienią cudzy stosunek do niej, zawsze powinna być ograniczona. Prof. Andrzej Nowak w rozmowie ze mną dla pisma „Wszystko jest najważniejsze” przyznawał, że czeskie kino nagłośniło i ponad miarę wyolbrzymiło udział tego narodu w II Wojnie Światowej. Ale przypomniiał, że równoległe lub może nawet wcześniej był wielki wysiłek czeskiej dyplomacji kulturalnej wpływającej choćby na programy szkolne i debaty w rozmaitych krajach. Dopiero na takim podglebiu możliwe było uznanie masakry w Lidicach, zamachu na Heydricha czy walki czeskich lotników za nośne i ciekawe tematy popkultury.

W tym sensie Smarzowski ze swoim *Wołyniem* jest po części zakładnikiem zjawisk na które nie ma wpływu. W możliwości obecnej polskiej dyplomacji, by dogonić Czechów nie bardzo wierzę, zwłaszcza w atmosferze konfrontacji rządzącej polskiej prawicy z zachodnimi elitami. Nie zmienia to mojej nadziei związanej z poszczególnymi filmami.

Niestety nie mamy wizjonera na miarę Wajdy. W czystej teorii potencjał miałby może właśnie Smarzowski. Ale go to nie interesuje. Na co dzień woli się zajmować satyrą na polskie społeczeństwo w duchu liberalnej lewicy.

Nadzieję można pokładać w solidnych obrazach dobrych rzemieślników, nawet tak dwuznacznych jak Pasikowski. Ba, w obrazach, w których polska historia będzie prezentowana „przy okazji” jak u Pawlikowskiego. Warto tu jednak pamiętać o paradoksach takich produkcji w zderzeniu z zagranicą.

*Wiara w to, że filmowcy  
automatycznie ożywią  
zainteresowanie historią swojego  
narodu czy zmienią cudzy  
stosunek do niej, zawsze powinna  
być ograniczona*

Oto *Miasto 44* film  
Jana Komasy o  
Powstaniu  
Warszawskim był  
krytykowany przez  
tradycyjną część  
polskiej widowni jako  
zbyt obrazoburczy,  
śmiały w sferze

estetycznej, wyzywająco popkulturowy. Bronilem go wtedy przed najbardziej agresywnym i krytykami z prawej strony, choć sam nie byłem jednoznacznym entuzjastą tej estetyki. Pokazywał on zarazem opowieść jak na potrzeby zagranicznego widza zbyt chaotyczną i rozwichrzoną, żeby mogła być dla

niego czytelna. Nowoczesność nie zdała się na nic. A film pochłonął znaczne środki, także publiczne, wydatkowane przez PISF. Niełatwo jest nakręcić kolejną taką produkcję, zwłaszcza o tym samym wydarzeniu. Pytanie, czy polscy filmowcy gotowi są o tym pamiętać.

Aczkolwiek nie lekceważyłbym na koniec pytania, jak pokazywać polską historię samym Polakom. Znajomy scenograf wykładający na ASP opowiadał ostatnio swoim studentom o sławnym twórcy teatralnym Józefie Szajnie, który był więźniem Auschwitz i na którego twórczość obozowe przeżycia miały istotny wpływ. W pewnym momencie spytał, kto zorganizował to obozowe piekło. Pewna studentka była przekonana, że w Auschwitz gospodarzami byli Polacy, skoro mówi się tyle o „polskich obozach”. Trudno w to uwierzyć, prawda? Nie będziemy dobrze opowiadali swojej przeszłości zagranicą, jeśli nie opowiemy jej najpierw swojemu młodemu pokoleniu.